

Władysław Chudek

WSPOMNIENIA

Notowała: Teresa Chudek

Konsultacje: Edmund Chudek

Opracowanie komputerowe: Joanna Paszkowiak

Warszawa, grudzień 2002 r.

I WSTĘP

Wszystkie przedstawione tu fakty są autentyczne. Jest to wierne odtworzenie opowieści mojego Ojca Władysława Chudka, który wraz z rodziną mieszkał w Kapicach w pobliżu Stoczka Łukowskiego. Sam brał udział w większości przedstawionych tu wydarzeń, bądź znał je z opowieści swoich przodków.

Pamiętam te gawędy od najwcześniejszego dzieciństwa. Były to najczęściej własne przeżycia Ojca oraz te, które usłyszał od swojego dziadka, babek, matki i ojczyma.

Lata swojej młodości wspominał Ojciec bardzo pogodnie, tak jak każdy widział je trochę przez różowe okulary.

Dzieciństwo i lata młodości Ojca przypadły na koniec okresu rozbiorów, na lata walki o niepodległość kraju i wielkiej biedy w początkach wolnej Polski.

Gdy się urodził w 1898 roku nikt nie myślał, że za 20 lat przyjdzie upragniona wolność i że ten chłopiec będzie o nią walczył.

Podlasie należało do najuboższych rejonów kraju. Kapice były kolonią Woli Kisielskiej. Oddzielne sołectwo wraz z Celejem otrzymały dopiero w latach sześćdziesiątych. Od szosy oddalone są o 1 km, ukryte za olszynami i nieuregulowaną (do 1946 r.) rzeką Świder. W czasie wiosennych roztopów rzeka ta wylewała na szerokość 200 m odcinając nas od reszty świata. Powódź dochodząca często pod naszą stodołę była groźna i stwarzała kłopot dla wszystkich ale nie dla dzieci. Im dawała wolne dni w szkole.

Przełom w rozwoju Kapic nastąpił po drugiej wojnie światowej wraz z elektryfikacją wsi. Wtedy to mieszkańcy kupili sobie głośnikowe radioodbiorniki, silniki elektryczne do gospodarstw, zaczęli doprowadzać wodę ze studni do mieszkań i po pewnym czasie do każdego domu trafiły telewizory.

Oddalony od Kapic o 5 km Stoczek Łukowski z okazałym kościołem był ośrodkiem zaopatrzenia, oświaty, kultury i religii. Tam ja i moje rodzeństwo byliśmy ochrzczeni, kończyliśmy szóstą i siódmą klasę, pierwszy raz zobaczyliśmy kino i poznaliśmy smak pomarańczy i mandarynek.

Miasteczko to położone na Podlasiu, na lewym brzegu rzeki Świder, 30 km od Łukowa, odegrało ważną rolę w naszym życiu. Warto więc poświęcić mu trochę uwagi.

Stoczek jako osada wiejska istniał już w XIII-tym wieku. Od XV-go wieku był własnością biskupów poznańskich. Początkowo osada nazywana była Wola Poznańska (nazwa od właścicieli), później Sebastianowem (od imienia biskupa Sebastiana) i następnie Stoczkiem. W aktach parafialnych znajduje się dokument fundacyjny kościoła z 1421 r. Przywilej lokacyjny (prawa miejskie) nadał Stoczkowi w 1546 r. król Zygmunt Stary. W 1779 r. powstała pierwsza szkoła parafialna, która w 1808 r. zmieniła nazwę na elementarną. Od 1805 r. Stoczek nie był już własnością biskupów poznańskich lecz miastem państwowym. W 1840 r. właścicielem ziem należących poprzednio do biskupów został Rosjanin Eugeniusz Gołowin. Ziemie te otrzymał w prezencie za walkę z powstańcami w 1831 r. Największą sławę historyczną uzyskał Stoczek dzięki wygranej bitwie przez powstańców listopadowych dowodzonych przez gen. Józefa Dwernickiego. Bitwę stoczył on 14 lutego 1831 roku pod Stoczkiem, rozbijając całkowicie dywizję rosyjską dowodzoną przez gen. Gejsmara i zdobywając 11 armat.

Bohaterstwo Dwernickiego i zwycięską bitwę sławią śpiewane do dziś pieśni, jak również pomnik postawiony na jego cześć na wzgórzu pod Stoczkiem. Imię Józefa Dwernickiego nosi stoczkowska szkoła oraz ulica.

W 1869 roku w Stoczku było 651 mieszkańców w tym 272 Żydów. W 1869 roku za aktywny udział w powstaniu styczniowym Stoczek został zdegradowany jako miasto i włączony do gminy Prawda. Prawa miejskie przywrócono w 1916 roku t.j. po wkroczeniu Niemców.

W 1939 roku ludność Stoczka przekroczyła liczbę 5000 osób z czego ponad połowę stanowili Żydzi.

II KORZENIE I DZIECIŃSTWO

Święta spędzałam zwykle z rodzicami przyjeżdżając do nich z Gdańska, gdzie pracowałam w Redakcji Dziennika Bałtyckiego i mieszkam na stałe.

Pewnego zimowego wieczoru w 1982 roku w okresie Bożego Narodzenia wytworzył się znów nastrój do wspomnień. Ojciec mówił już z trudem, miał bowiem ponad 80 lat i coraz częściej niedomagał. Ale pamięć zawsze miał bardzo dobrą. Urzeczona jego opowiadaniem zaczęłam pisać.

Prababka naszego Ojca Klara, nasza praprababka podczas Powstania Styczniowego w 1863 roku była młodą dziewczyną, ale na całe życie zapamiętała ten epizod swoich przeżyć. Otóż pewnego dnia idąc przez łąki z Kisielska do Kopic spotkała leżącego we krwi powstańca, którego Kozacy zakłuli pikami. Przejęta zgrozą i litością przykryła go starannie koszulą i zawiadomiła bliskich. Zachowała też żywo w pamięci obraz płonącego młyna wodnego na rzece Świder. Ów to młyn służył powstańcom za kryjówkę dopóki pewnego dnia nie otoczyli go i nie podpalili Rosjanie.

W tymże czasie nasz pradziadek a Ojca dziadek Kacper Chudek miał już 12 lat i mieszkał w sąsiedniej wsi Kisielsku. On również otarł się o powstańców w znacznie mniej jednak dramatyczny sposób. Otóż stacjonujący we wsi powstańcy wysyłali go kilkakrotnie po ...wódkę do gorzelni we wsi Prawda. Skracając drogę biegał przez zamrożone pola na przełaj.

Przed laty w XIX-tym wieku w Kopicach mieszkały trzy rodziny, które zajmowały ziemie włościańskie. Byli to Sobiescy (mieszkali tam, gdzie obecnie Kajkowie), Rosowie i Kotowie.

Tak się złożyło, że w każdym z tych domów były tylko córki a ani jednego syna. Z córką Sobieskiego ożenił się Paweł Kajka z Prawdy a z córką Rosów - Kapica. Kot, pradziadek mojego ojca Władysława, miał dwie córki: Katarzynę i Klarę. Miał on, podobnie jak dwaj sąsiedzi, wódkę ziemi (16,8 ha) zakupionej od rosyjskiego dzierżawcy Gołowina. Trzymał dwójkę koni. Pewnego dnia wybrał się wozem konnym do swojego kolegi Litwińskiego zamieszkałego w Ciechominie. Popili sobie pewnie trochę i wracał do domu już dość późnym wieczorem. Gdy przejeżdżał przez most na Świdrze – w pobliżu dzisiejszych Gajowniczków i Boguszów – Domańskich - konie "poniosły" i wóz wraz z właścicielem wpadł do wody. Znalaziono go nazajutrz martwego. Zostawił dwie córki.

Klara wyszła za mąż za Kocielnika z Janoszków a druga - Katarzyna wzięła za męża Kacpra Chudka. Miał on trzech braci. Tomasz pozostał w domu a dwaj inni ożenili się i zamieszkali w Woli Kisielskiej i Kienkówce.

Zona pradziadka Kota Klara wyszła powtórnie za mąż za Kocielnika.

Babka Katarzyna umarła wcześniej niż prababka Klara.

- Byłem wtedy w Warszawie – wspomina Ojciec.

Dziadek Kacper Chudek i babka Katarzyna mieli dwoje dzieci: syna Pawła i córkę Katarzynę, która wyszła za mąż za Franciszka Jończyka i przeniosła się do Kamionki. Z biegiem czasu sprzedali swoje gospodarstwo i kupili 45 mórg ziemi w Kamieniu (1 morga = 0,56 ha).

Ich córka Genia niejednokrotnie odwiedzała naszą rodzinę w Kapicach – sama ją trochę pamiętam. Była wysoka i zgrabna. Jej mąż Płatek z Domanic zmarł młodo. Zostało dwoje dzieci. Miała też dwóch braci : Aleksandra i Jana, między którymi podzielony był majątek . Jan dość wcześnie zmarł a Aleksander wyjechał i osiedlił się za Warszawą. Syn Kacpra Paweł umiał już pisać. W książeczce do nabożeństwa zachował się jego podpis: Chudek Paweł.

Dzieci uczyły się pisać i czytać w zimowe dni m.in. od szewca.

Paweł był, jak opowiadała jego żona a nasza babcia, bardzo lubiany w otoczeniu. Opowiadał mi ktoś z sąsiadów – wspomina nasz Tata Władysław, że kiedyś posadził mnie na konia przed sobą, dał do rąk lejce i wołał: patrzcie jak mój syn jeździ !

Pewnego dnia na jakimś weselu spocony po tańcach napił się zimnego piwa. Dostał zapalenia płuc i wkrótce zmarł osierocając 4-letniego syna Władysława. Miał 24 lata.

- Pamiętam trumnę stojącą na podwyższeniu w izbie starego domu. Wokół paliły się świece w lichtarzach.

Żona Pawła Marianna, nasza babcia, pochodziła z zamożnego domu Domanskich z Kisielska. Przez pewien czas była wdową. Dziadkowi Ojca Kacprowi pomagał w gospodarce syn jego brata Jakuba – Mikołaj. Po pewnym czasie wydano za niego za mąż wdowę po Pawle – Mariannę.

-Wychowywały mnie – kontynuuje Ojciec - trzy kobiety : prababka Klara, babka Katarzyna i matka Marianna. Byłem chorowity więc nie pozwalały mi wychodzić zimą na podwórko. Chowały mi w związku z tym buty. Z sukiennej szuby prababki uszyły mi futro ale też nie pozwalały mi go ubierać mówiąc: futro będzie jutro. Mimo takiej ‘ ‘straży’ ’ wymykałem się czasami na podwórko , nawet boso. Potem zwykle przywożono do mnie felczera ze Stoczka.

-Pamiętam budowę drugiego domu, bo stary pochodził z 1902 roku i chylił się ku upadkowi. Gdy matka opowiadała mi, że będzie koniec świata, pytałem z niepokojem, co się stanie z tym nowym, jeszcze niewykończonym domem... Z tego starego domu pochodziły okna, które zostały wstawione w kuchni oraz pokoju od strony podwórka w nowym, trzecim domu, który z biegiem lat wybudowali nasi rodzice. Nawet szyby były te same. Dom ten stoi do dziś.

-Gdy miałem 8 lat - kontynuuje Ojciec, zimą zamieszkiwał na Kapicach szewc Dzieciolowski. On to właśnie uczył dzieci czytać i pisać po polsku. Gościli go gospodarze, u których mieszkał kolejno przez tydzień u każdego. Mieliśmy najpierw mały elementarz a później już bardziej dostępny podręcznik "ABC". Dzieci, które nie miały elementarza uczyły się na książeczce do nabożeństwa. Szewc Dzieciolowski, ów "emisariusz" tłumaczył nam także tajniki podstawowych rachunków. Najtrudniej szło Piotrowi Barejowi, (bratu Jana, ojcu Henryka). Nauczyciel kazał, abym mu pomagał.

Nieco później znalazł się na Kapicach trochę bardziej przygotowany nauczyciel Drosio. Przychodziły do niego uczyć się także dzieci z Kisielska.

-A potem my chodziliśmy uczyć się do Kisielska. Było nas bodajże ośmioro.

Stałe szkoły były w Stoczku Łukowskim i w Róży obie 4-oddziałowe.

-Ja uczyłem się przez pewien czas w Stoczku Łukowskim. Nauczyciel Kazimierz Bryłowski udzielał też korepetycji prywatnie. Chodziło nas tam kilku, m.in. Józef Gałązka i Andrzej Śnieżek, który skonstruował coś w rodzaju rewolweru i razem chodziliśmy do lasu strzelać.

Po pewnym czasie kilku gospodarzy z okolicy Stoczka porozumiało się i zdecydowało wysłać synów do warszawskiego gimnazjum.

-1910 roku zawieźli nas do stacji kolejowej w Pilawie a stamtąd pojechaliśmy do Warszawy, gdzie znaleźli nam stancję u Pani Pfeiferowej przy ulicy Podwale 25 na Starym Mieście. Mieszkało nas tam kilku, część z naszych okolic: Józef Szczepanik z Jamielnego, Stanisław Grzegorzółka z Brzozy, Józef Drosio z Kisielska, Walenty Leszko z Ciechomina i Jarzęcki ze Stoczka. Koszty mojej edukacji pokrywał dziadek Kacper.

Latem 1984 r. przywiozłem Ojca do Warszawy – opowiada mój brat Edmund. Chciał odwiedzić Stare Miasto. Poszliśmy na ul. Podwale. Popatrzył na pierwsze piętro i powiedział : przez to okno nad bramą patrzyłem na Barbakan i na te mury fosy przez kilka lat. Chcieliśmy zobaczyć mieszkanie od wewnątrz ale było zamknięte. Długo Ojciec stał na ulicy i patrzył w to okno i na mury starego miasta. Zauważyłem, że ukradkiem otarł łzę.

W 1939 roku Jarzęcki przyszedł do nas w mundurze polskiego żołnierza. Przeżył piekło wojny. Pożywił się i przenocował. Zostawił pieniądze i jakieś dokumenty prosząc by – jeśli nie wróci – oddać je synowi. Zostawił też maskę przeciwgazową. Odszedł w kierunku szosy na zachód. Wkrótce wrócił ze studentem z Warszawy. Miał uciekać w kierunku Brześcia, lecz nasz Ojciec przypomniał mu o stryju, który mieszkał w Wiśniówce. Idąc tam niedaleko domu Władysława Kajki na końcu Kapic zakopał swoją bluzę wojskową. Po paru dniach przyszedł do nas razem ze stryjem i odebrał od Ojca dokumenty oraz pieniądze.

W Warszawie księżna Maria Radziwiłłowa założyła szkołę dla biednych uczniów. Nazwała ją "Nazaret". Szkoła ta była bezpłatna ale ukończenie jej nie dawało żadnych uprawnień. Zamiast klas były 3 grupy. Gdy uczeń je "zaliczył" mógł zdawać w gimnazjum "carskim" egzamin z 4-klas.

Po tych 4 klasach mógł iść do pracy jako pomocnik w aptece, biurze albo starać się dostać do seminarium duchownego.

-Po półrocznej nauce w szkole Nazaret p. Pfajferowa, której syn pomagał mi trochę w nauce, poradziła mi, abym przeniósł się do gimnazjum przy ul. Złotej nr 52. Zdałem do pierwszej klasy. Dostałem umundurowanie: bluzę z pasem, płaszcz – szynel o niebieskim odcieniu i kroju oficerskim.

Na przerwach chłopcy toczyli boje - klasa przeciwko innej klasie. Nad każdą salą zainstalowany był dzwonek elektryczny. Przed lekcją rozbrzmiewały 3 dzwonki. Po trzecim przychodził nauczyciel. Językiem wykładowym w owym "carskim" gimnazjum był rosyjski. W pierwszej klasie uczyli też niemieckiego a w trzeciej zaczynały się łacina i francuski. W języku polskim uczono nas religii. Do tej szkoły uczęszczali też Rosjanie. Część z nich nie przychodziła na lekcje w języku polskim.

W Warszawie w tym czasie było 7 gimnazjów i 1 progimnazjum. B7G pisane rosyjskimi literami – takie znaczki nosili uczniowie. W pierwszym gimnazjum uczyli się głównie uczniowie rosyjskich generałów i urzędników. Polakom trudno się było tam dostać.

III. I WOJNA ŚWIATOWA I POW

Wiosną 1914 roku zdałem do klasy piątej. W sierpniu wybuchła pierwsza wojna światowa. We wrześniu pojechałem znowu do Warszawy i jeszcze jakiś czas chodziliśmy do szkoły. Na froncie Rosjanie ustępowali przed wojskami niemieckimi i austriackimi. Gdy zbliżał się front w gimnazjum wydali nam świadectwa ukończenia czwartej klasy i kazali wracać do domu.

Wróciłem i już zostałem w Kapicach. Podobnie wrócili Leszko, Jarzęcki i inni. Oni jednak, gdy w 1918 roku powstała Polska, poszli ponownie do szkoły, już polskiej. A mój dziadek, który po raz drugi się ożenił pod wpływem 2-giej żony już mnie do szkoły nie posłał. Nie miał kto płacić za moją edukację.

Wkrótce po powrocie Ojca do Kapic w 1914 roku w Stoczku, podobnie jak w innych miastach, zaczęła się tworzyć z inicjatywy Józefa Piłsudskiego Polska Organizacja Wojskowa. Najpierw wstąpił do niej Wacław Kozłowski wieloletni przyjaciel Ojca, którego również do niej wciągnął.

- Był komendantem plutonu w gminie poza Stoczkiem a ja jego zastępcą.

Po wyparciu Rosjan tereny te zajęli Niemcy. Wkrótce zaczęli oni coraz bardziej wrogo traktować POW. Konfiskowali rolnikom zboże. Kozłowskiemu zaplombowali młyn – wiatrak, który posiadał w Woli Kisielskiej.

Po odzyskaniu praw miejskich pierwszym burmistrzem Stoczka został Niemiec z Pomorza - Osten. Za jego kadencji wybudowano kilka dróg bitych m.in. do Siedlec i Żelechowa, rzeźnię, łaźnię, dom dla magistratu i inne. Siedziby Spółdzielni Spożywców i nowopowstałej Samopomocy Chłopskiej były miejscem spotkań POW.

- W pewną niedzielę mieliśmy w Stoczku odprawę. Byłem u Franciszka Lewandowskiego, komendanta I-szego plutonu w Stoczku – mieście.

Kozłowski nie uczestniczył w odprawie, bo nocą mełł zboże po usunięciu z młyna plomb. Było nas tam wtedy kilkunastu. Od siostry Lewandowskiego Heleny, która była sekretarką i kasjerką stoczkowskiego plutonu POW, dostałem tajne gazetki dla naszego plutonu. Wtedy to przyszedł do nas jeden z dwóch niemieckich żandarmów, którzy stacjonowali w Stoczku. Zaczął przeprowadzać rewizję. Byłem opakowany gazetkami. Gdy zaczął rewidować pierwszego z nas ukradkiem podałem gazetki Helenie a ona je szybko ukryła. Żyd – tłumacz powiedział: to jest Niemiec ale równy chłop. Podajcie wódkę, zróbcie przyjęcie...

Niemiec zaczął się umizgiwać do Heleny, która wydobyła od niego papiery zabrane dwóm kolegom podczas rewizji.

W tym czasie drugi żandarm pojechał do Wacława Kozłowskiego i go aresztował.

Znalazł u niego zakazane gazetki i dokumenty. Po kilku dniach został aresztowany również Lewandowski. Niemcy zabrali ich do obozu w Happelbergu, gdzie przebywali kilka miesięcy. W tym czasie dowództwo plutonu POW na terenie gminy przejął nasz Ojciec. Koledzy z POW wysyłali aresztowanym paczki z żywnością. Po wyjściu na wolność Kozłowski i Lewandowski musieli się systematycznie meldować w żandarmerii.

W POW prowadziliśmy ćwiczenia, urządzaliśmy przedstawienia i zabawy. Na obchód rocznicy Konstytucji III-go Maja postanowiliśmy iść do Łukowa, bo ksiądz w Stoczku bał się uczestniczyć w uroczystości i odprawić mszę polową. Mieliśmy dwie furmanki. Szły też z nami kobiety z Ligi Kobiet: dwie Zawistowskie (matka i córka Janina), dwie Żebrowskie, Gałęcka i inne. Nas chłopców było trzydziestu. Gdy byliśmy już w Dębku dogonił nas posłaniec od księdza, który prosił żebyśmy wrócili a on odprawi mszę polową i uroczystość odbędzie się w Stoczku. Ale już nie chcieliśmy wrócić. Nocowaliśmy w Sięciaszce – w stodole. Następnego dnia 3 maja w Łukowie była duża uroczystość. Jeszcze w drodze, gdy doszliśmy do Zastawia przy mogile powstańców z 1863 roku odśpiewaliśmy hymn podlaski:

“Ziemio Podlaska ze swym szarym ludem
My czcimy Cię Matko, bo my dzieci Twe
My Cię wskrzesić chcemy swoim własnym trudem
I w płacz radości zmienić bólu łzę.

Refren:

Wskrzeszenia cud, podlaski lud
Nieprzebytym legnie progiem
Wrogom swym na pohybel i trud!

Pod Kockiem pole zroszone krwią obficie
Bili się dziadowie wśród stoczkowskich wzgórz
I my gotowi za Ojczyznę oddać życie ...”

W Łukowie POW-iacy kupili żelazny krzyż. Po powrocie obsadzili go w dębową podstawę. Ten kłoc dębowy Ojciec “wykradł” swojemu dziadkowi Kacprowi. Krzyż postawili w nocy za miastem na wzgórzu w pobliżu pomnika Dwernickiego. Płudowski przylutował blachę z napisem upamiętniającym POW. Drewno zalał betonem. Krzyż ten w otoczeniu czterech wielkich brzoź stoi do dziś. Członkowie POW ze Stoczka i okolicy pisali do Józefa Piłsudskiego uwięzionego w Magdeburgu. Wysyłali mu życzenia imieninowe oraz wyrazy wierności i otuchy.

*melodia
wskrzeszenia
podlaski lud*

IV WYZWOLENIE – 1918 rok.

Jesienią 1918 roku POW-iacy przygotowywali się do rozbrojenia Niemców. Aby zapobiec wywiezieniu przez nich dobytku akcję tę przyspieszono.

- Rozkazy do nas jeszcze nie dotarły ale sygnał dali nam POW-iacy z Latowicza. Przyjechało ich kilku. Zatrzymali się w rzeźni przy szosie prowadzącej do Zgórznicy i tam rozbroili Niemca, który tą rzeźnią zarządzał, czy też był lekarzem weterynarii. Przybiegli żandarmi niemieccy i zabili jednego z Polaków – Ignacego Braulińskiego.

Lewandowski dowiedział się wcześniej o rozbrajaniu Niemców – kontynuuje Ojciec. Ja na razie nic nie wiedziałem. Akurat w budowie był ten dom, w którym mieszkał później mój brat Heniek. Ojczym Mikołaj wybrał się akurat furmanką do Stoczka po okucia. Czulem, że coś się będzie działo, więc myślę sobie: zabiorę się z nim i wpadnę do Kozłowskiego mieszkającego “po drodze” w Woli Kisielskiej. Ojczym poczekał. Zastałem matkę Kozłowskiego, która z płaczem powiedziała, że Wacek jest w Stoczku a tam jednego z POW-iaków zabili Niemcy. Nie powiedziałem o tym nic ojczymowi, bo zawróciłby do domu. W Stoczku ojczym poszedł załatwić swoje sprawy a ja wpadłem do Lewandowskiego. Tu też powitał mnie płacz jego matki: “zabili kogoś a Franio też tam poszedł”. Zaszedłem potem do Gałęckiego, naszego sympatyka. “Już się zaczęło, mówi, wysłali gońców, ale nie wszędzie dotarli. Zbiórka w młynie w Zgórznicy”. Poszedłem tam okreśną drogą koło cmentarza przez olszyny wprost do młyna. Obok stała warta. Zebrało się tam już około trzydziestu młodych ludzi naszych członków. Rozdali broń. Mnie dostała się strzelba od księdza. Napelniłem kieszenie nabojami.

Franciszek Lewandowski objął komendę zwołując zbiórkę na moście. Podzielił nas na trzy sekcje po około dziesięciu ludzi każda. Dowództwo pierwszej przekazał Kozłowskiemu, drugiej mnie a trzeciej Drabińskiemu.

Przekazał rozkaz, że pierwsza sekcja będzie ubezpieczać nas czatując od strony Żelechowa, trzecia przy szosie od strony Siedlec, a druga, to jest moja, pójdzie rozbrajać Niemców. Było ich około dziesięciu w budynku piętrowym miejskiego sądu. Myślę: rozkaz to rozkaz. Na odprawie uradziliśmy jednak, że do ataku na uzbrojonych po zęby Niemców powinni pójść wszyscy. Mieliśmy parę karabinów i strzelb. Poszliśmy więc wszyscy. Przemykaliśmy się ukradkiem. Znaleźliśmy się w budynku sądu, gdzie na piętrze zabarykadowali się niemieccy żandarmi, którzy pościągali tu z okolicznych gmin. Weszliśmy po schodach. Otworzyliśmy drzwi i wezwaliśmy Niemców do oddania broni. Złożyli ją bez oporu. Ich dowódca powiedział, że nie chcą stawiać oporu, tylko zależy im na dostaniu się do stacji kolejowej i wyjeździe do domu. Przejeliśmy broń.

Ja wybrałem sobie krótki, belgijski karabin, którym na razie nie umiałem się posługiwać. Pewniej czułem się ze swoją strzelbą.

Zostawiliśmy żandarmów pod strażą i poszliśmy do burmistrza, oczywiście już znacznie lepiej uzbrojeni. U burmistrza schronili się inni Niemcy z okolic m.in. leśniczy i zarządca młynów. Podeszliśmy do magistratu i wezwaliśmy do otwarcia drzwi. Burmistrz Osten zapytał kim jesteśmy.

-Tu polskie wojsko!

-Idźcie precz bandyci! padła odpowiedź, której wtórowały wystrzały z rewolweru.

Po chwili POW-iacy również zaczęli strzelać. Poleciało kilka szyb z okien.

Niemcy wyłączyli prąd elektryczny, więc POW-iacy wysłali żołnierzy do młyna, gdzie prąd był wytwarzany, by włączyć go na nowo. Zdecydowaliśmy, że przez noc, która już nadeszła, połowa chłopców będzie pilnować szosy przy "choiniaku" od strony Dębka, część od strony Zgórznicy a część zostanie na straży przy magistracie.

Gdy zbliżał się dzień do miasteczka zaczęły nadjeżdżać furmanki, bo działo się to we wtorek rano w dzień targowy. Rozwidniało się. POW-iacy wysłali sekretarza Rady Miejskiej, miejscowego Żyda, do burmistrza na pertraktacje.

Wkrótce gruby burmistrz wyszedł z rękami podniesionymi do góry a za nim w tej samej pozycji inni Niemcy. Niektórzy POW-iacy wołali, by burmistrza powiesić ale inni ich uspakajali.

- Jesteśmy Polakami i nie możemy tak postąpić! Rano zapakowali wszystkich Niemców na furmanki i zawieźli do Mińska na stację kolejową. Tam okazało się, że burmistrz miał zaszyte w płaszczu pieniądze, które znaleziono podczas rewizji.

Ulica w Stoczku, przy której rozbrajano Niemców, do dzisiaj nazywa się ulicą Wyzwolenia.

W czasie akcji rozbrajania miałem na nogach buty ojczyma, bo swoje oddałem do szewca. Wpadłem więc do domu po lepsze buty i pojechaliśmy furmankami do Łukowa. W Stoczku został komendant Lewandowski. W Łukowie dali nam kwatery w pobliżu kościoła i kasy skarbowej. Nazajutrz pluton nasz skierowali do obrony stacji kolejowej. Następnie poszliśmy na szosę radzyńską, bo stamtąd nadchodzili Niemcy. Staliśmy szpalerem po obu stronach drogi.

Niemcy wchodzili między nas i oddawali broń. Na stacji był również Kozłowski – kontynuuje Ojciec – postawiliśmy posterunki. Kozłowski zasnął ze zmęczenia a tu nadeszła wiadomość, że od Brześcia nadciąga niemiecki pociąg z dużą ilością żywności, którą mieliśmy skonfiskować. Wziąłem ludzi z bronią i obstawiliśmy peron.

Stanowiliśmy wojsko jeszcze bardzo surowe, byliśmy w cywilnych ubraniach, z bronią, którą niektórzy z nas mieli w ręku po raz pierwszy. Semafor zamknął drogę i pociąg stanął. Wypchany był Niemcami. Wyszedł jeden z nich i pyta dlaczego zatrzymujemy transport. Odpowiedzieliśmy, że nie puścimy pociągu dopóki nie oddadzą żywności. W pociągu powstał hałas. Ktoś wystrzelił. W końcu Niemcy zaczęli wyrzucać skrzynki z wędlinami. Rewidować ich nie było sposobu, bo Niemców było tysiące a nas zaledwie kilkunastu, ale wyrzucili sporo tych skrzynek. Dostarczyliśmy żywność do Urzędu Apropowizacji zostawiając sobie część prowiantu, zapas na kilka dni.

Kobiety z Ligi Kobiet gotowały obiady dla naszych żołnierzy. Do Łukowa ściągnęły i inne oddziały POW z okolicznych gmin.

V WOJSKO POLSKIE

Korzystając z okazji, że w stronę Stoczka Łukowskiego jechał stary samochód wpadłem do domu aby ponownie zmienić buty. Wziąłem trochę pieniędzy i wróciłem do Łukowa. Tam niejaki Adamiak formował oddział żandarmerii i zwerbował mnie. Byli w tym oddziale również legionści.

Tymczasem Lewandowski, który pozostał w Stoczku z grupą swoich ludzi zaczął robić "kanty". Posprzedawał ponemieckie konie. Wezwano go do Łukowa ale się nie stawił. Wysłano mnie z Turskim, żeby odebrać mu konie i siodła i sprowadzić go do Łukowa. Rozkaz musiałem wykonać pomimo, że był on przez pewien okres moim komendantem.

W żandarmerii dostał Ojciec mundur i osiodłanego konia. Na początku 1919 roku rocznik Ojca (1898) dostał powołanie do wojska. Ojciec pełnił służbę w wojskowej komisji poborowej na Łapiguzie. Sam też przeszedł badania i od tej pory służył w żandarmerii w regularnym wojsku.

W 1919 roku został Ojciec przeniesiony z Łukowa do nowopowstałego 22-go Pułku Piechoty w Siedlcach a następnie do II-go Dywizjonu Żandarmerii w Łodzi. Stacjonował nad rzeką Drwęcą, za którą byli jeszcze Niemcy. Na granicy co 6 km ustanowione były posterunki straży granicznej i żandarmerii. Staliśmy we wsi Ciechocin – Mauszyce. Nasze zadanie polegało głównie na przeciwdziałaniu przemytowi. Dowództwo plutonu mieściło się w Ciechocinku. Wielu młodych ludzi z zaboru niemieckiego z za Drwęcy przekradało się nocami do polskiego wojska.

–Gdy Pomorze zostało przyłączone do Polski przerzucono nas znów do Łodzi – opowiada Ojciec. Dostałem przydział do Kontrolnego Oddziału Kolejowego . Żandarmerii było mało, więc przydzielono nam asystentów spośród kawalerii i artylerii. Naszym zadaniem była kontrola pociągów i sprawdzanie dowodów. Chodziliśmy w trójkę. Służyłem tam do 1920 roku.

–W czasie ofensywy Józefa Piłsudskiego na Kijów i podczas odwrotu wysłano nas w pobliże frontu w celu utworzenia trzech kordonów. Zatrzymywaliśmy dezertersów.

–Stacjonowaliśmy około dwóch miesięcy w Tomaszowie Lubelskim, w Bełzcu i w miejscowości Hrubenna. Tam zostałem mianowany komendantem posterunku Żandarmerii. Następnie ściągnięto nas do Lublina. W tym czasie trwały już walki z bolszewikami nad Wisłą. Czytałem w gazetach, że Stoczek, Żelechów i Ciechomin były zajęte przez wojska radzieckie. Bolszewicy szli na Warszawę.

Stworzony przez sztab Piłsudskiego plan obrony Ojczyzny powiódł się całkowicie. Wojsko polskie uderzyło na armię Tuchaczewskiego nad Wieprzem – w okolicach Dębina i Lubartowa. Armia Piłsudskiego zaszła nieprzyjaciela od tyłu zmuszając go do odwrotu.

Bitwa warszawska stoczona pod Radzyminem 15 sierpnia 1920 roku zakończyła się całkowitym polskim zwycięstwem. Bitwa ta zaliczana jest do najważniejszych bitew świata.

Świeżo odzyskana wolność Polski została uchroniona i ugruntowana. 18 marca 1921 roku w Rydze podpisany został traktat pokojowy ustalający granicę polsko – radziecką. Marsz Armii Czerwonej na zachód został powstrzymany. Niepodległość została uratowana nie tylko dla Polski ale również dla Litwy, Łotwy, Estonii i Finlandii.

Po wojnie przerzucono mnie znów do Łodzi. Z Lublina jechaliśmy przez Sobolew. Załatwiłem z porucznikiem krótki urlop i z Sobolewa pojechałem do Żelechowa a stamtąd do domu. Wpadłem na krótko do swojej matki. Zdjąłem mundur z żółtymi sznurami i odznakami. Traf chciał, że do Kapic przyszli dwaj żandarmi i zapytali o Władysława Chudka. Poprosili o dokumenty i sprawdzili, że jestem plutonowym i starszym żandarmem... Okazało się, że poszukiwali Władysława Chudka, syna Błażeja z Kisielska.

Ojciec wspominał też, że gdy pewnego razu przebywał w domu na przepustce dowiedział się, że Walenty Kajka z tejże wsi Kapice służy w Warszawie w piechocie jako woźnica oficera.

Postanowił wystarać się mu również o przepustkę. Spotkał się z nim. – Może chcesz jechać na parę dni do domu? Bardzo chciał. Poszedł Ojciec do kancelarii i poprosił o tę przepustkę dla kolegi. Zgodzili się, żeby pojechał ale po apelu. Na tym apelu okazało się, że brak mu było guzika przy mundurze. Zobaczył to przełożony i chciał mu tę przepustkę cofnąć. Włączyłem się mówiąc, że on ma żonę i małe dziecko. W końcu dowódca zgodził się na wyjazd. Z Warszawy przyjechaliśmy do Sobolewa pociągiem. W czasie podróży umówiliśmy się, że zdejmie pas i będzie udawał aresztowanego, bo w ten sposób mogliśmy dostać w gminie podwodę. W tejże gminie musztrowałem go na pokaz: jak stoisz, naprzód marsz! Potem poszliśmy do sołtysa. W efekcie wiózł nas Żyd furman na wozie z budą. Tak dostaliśmy się do Żelechowa, gdzie nazajutrz miał być odpust. Miałem tam znajomych więc zatrzymaliśmy się w pokojach noclegowych. Następnego dnia Walko poszedł sam na piechotę do domu.

Jako funkcjonariusz żandarmerii otrzymywałem różne polecenia, czasami mniej przyjemne. Pewnego razu polecono mi doprowadzić uciekiniera z wojska niejakiego Piotra Gajownicza z Kapic, mojego kolegę. Rozkaz musiałem wykonać, ale żeby mu wynagrodzić tę "służbową krzywdę" załatwiłem mu przeniesienie do Łukowa na stanowisko ordynansa. Był mi za to bardzo wdzięczny, bo miał blisko do domu.

VI W WOLNEJ POLSCE

W 1921 roku, po trzyletniej służbie wojskowej wrócił Ojciec do domu w eleganckim ubraniu i butach kupionych u Zarębskiego przy ul. Piotrkowskiej w Łodzi.

Pomagał w gospodarstwie i zajmował się pasieką, którą założył jeszcze przed pójściem do wojska. W gminie potrzebni byli ludzie potrafiący biegle pisać między innymi do wystawiania książeczek wojskowych dla rezerwistów. Powstała też kasa oszczędnościowo – pożyczkowa.

Ojciec był w zarządzie tej kasy sprawując jednocześnie funkcję kasjera. Należał też do Rady Nadzorczej Spółdzielni Mleczarskiej w Dębku. Podczas wyborów do sejmu RP pracował w komisjach wyborczych, dwukrotnie był przewodniczącym takiej komisji w gminie. Również po II wojnie światowej pracował w komisji wyborczej w Kisielsku.

Ślub Ojca Władysława Chudka z Mamą Stefanią Poszwińską odbył się w listopadzie 1924 roku. Rodzice Mamy przyjeżdżali z Ciechomina do Stoczka na targ po nabiał, który następnie wozili do Warszawy.

W gospodarstwie rodziców Ojca były cztery krowy i wyrabiało się po 5 kilogramów masła tygodniowo. Była w domu wirówka. Z czasem woziło się mleko do mleczarni w Dębku, gdzie zaczęto wyrabiać żółte sery i masło. Rodzina szybko się rozrastała. Rodzice z pokaźną gromadką dzieci zamieszkali początkowo w części domu dziadków – Marianny i Mikołaja. W tym czasie było nas pięcioro rodzeństwa: trzy dziewczyny i dwóch chłopców: Basia, Halinka, Teresa, Edmund i Janusz. Tak liczna rodzina potrzebowała dużego mieszkania. W 1934/ 1935 roku rodzice wybudowali nowy, trzyizbowy dom usytuowany przy sadzie owocowym z dużą pasieką. Obok postawiono budynki gospodarcze. Mieć dużą kuchnię i dwa wielkie pokoje to w ówczesnych czasach było luksusem.

Dzieciństwo mieliśmy nieco lepsze od innych dzieci na wsi. Pracowaliśmy ciężko. Różniło nas od innych dzieci to, że w naszym domu rodzice z większym zrozumieniem podchodzili do nauki i szkoły no i mieliśmy trochę lepszą sytuację materialną. Odrabianie lekcji, choć głównie wieczorami przy lampie naftowej, było rzeczą świętą. Rodzice często mawiali – będziecie się uczyć, będziecie awansować. Nie będziemy was zatrzymywać siłą w gospodarstwie-. Dziś widzimy, że dotrzyмали słowa. Wszystkim pomogli otrzymać minimum średnie wykształcenie. Dość dobre warunki bytowe naszej rodziny zawdzięczamy małym, pracowitym stworzonkom, jakimi są pszczoły.

Jak wspominałam Ojciec nasz założył pasiekę jeszcze w kawalerce. Tak ją rozbudował, że część uli przeniósł do swoich teściów a naszych dziadków Poszwińskich do Ciechomina oddalonego od Kapic o siedem km. W tym czasie pasieka składała się z 55 roi, była więc już małym przedsiębiorstwem. Pracowite pszczołki miód zbierały, ojciec im go podbierał, mama sprzedawała a nasza gromadka miała ładne ubrania, zeszyty, książki i słodycze. Te dobre owadki czasami dawały się we znaki chłopcom – Mundkowi i Januszowi.

Gdy Ojciec wyjeżdżał do Stoczka na jarmark lub do Żelechowa po węzę (walcowany воск do ramek) musieli oni tych pszczoł pilnować, aby po wyrojeniu się nie uciekły. Gdy zauważyli kłęby pszczoł wylatujących z ula walili młotkami w kosy, aby przeraźliwy dźwięk je ogłuszył. Następnie leli kropidlami wodą, aby zmoczyć im skrzydełka, niby to pada deszcz. Oszukane i oszołomione pszczoły siadały na gałęzi tworząc zwisający koszyk. W taki sposób dawały się łatwo strząsnąć do rojnicy. Gorzej, gdy trafiła się młoda matka. Siadała ona wysoko na pionowej gałęzi a pszczoły siadały wkoło niej. Wtedy chłopcy zakładali maski z drucianą siatką na oczy, zawiązywali rękawy, zakładali rękawice i wchodzili na drzewo. Podstawiali rojnicę pod grubszą częścią pszczelego kłębuszka. Szczęściem było, gdy w tej części znalazła się młoda matka. Po wstrząśnięciu zostawała uwieczniona w rojnicy wraz z częścią

pszczelego orszaku. Reszta pszczół, która uniosła się w powietrze bez matki nie uciekła, lecz wróciła do ula. Przy tej operacji dużo pszczół spadało na młodego pszczelarza żądając go często przez koszulę.

Pewnego razu przytrafiła się nam miodowa przygoda. Rodzice i najstarsza siostra Basia poszli do pracy w polu. Maluchy zostały w domu. Ojciec rankiem odwirował ramki i wirówkę z miodem zostawił na ciężkiej ławie. W południe miało być spuszczenie miodu do baniek. Jedno z nas wpadło na pomysł, żeby upuścić trochę miodu do kwaterki. Żadne z nas za miodem nie przepadało. Miód cały rok stał w słoju i kto chciał mógł go jeść. Dziś nie da się logicznie wytłumaczyć po co był nam potrzebny świeży miód. Miodu w beczce musiało być dużo, bo po uchyleniu dużego korka złocista lawa z siłą wodospadu wytrąciła kwaterkę i popłynęła na podłogę. Mundek i Halinka, jako najstarsi, rzucili się, aby zatkać wylew. Sporo miodu uratowali ale około 20 litrów znalazło się na "brudnej" podłodze. Chcieliśmy zbierać ale to było dla nas za trudne. W tym czasie wrócili rodzice. Ze strachu pochowaliśmy się po kątach czekając co będzie. Ojciec spojrzał na rozlany miód i na nasze wystraszone miny i zarządził:

-przynies piasek. Mundek złapał wiadro i przyniósł piasku. Baliśmy się zapytać po co ten piasek do miodu. Ojciec z mamą zgarnęli miód ile się dało a resztę posypali piaskiem i pozgarniali szufelkami do wiader. Brudny miód i to miodowe "ciasto" wynieśliśmy do ogródka. Po chwili było tam ciemno od pszczół a po kilku godzinach nie było śladu po miodzie. Trafił on ponownie do uli.

Za tę lekkomyślność nie spotkała nas żadna kara, w czym znowu pomogły nam pszczoły. Nic się nie zmarnowało. W ogrodzie pozostał suchy piasek. Uniknęliśmy kary, tylko pszczołki musiały się napracować, bo nosiły miód dwa razy.

Innym razem, pewnej lipcowej niedzieli w 1937 roku na wsi gruchnęła wiadomość: - do Kapic przyjechał "mini cyrk". Był on naprawdę mini, bo złożony tylko z jednego niedźwiedzia i tresera – właściciela w jednej osobie. Człowiek ten prowadził brunatnego misia na łańcuchu przez całą wieś i zapraszał wszystkich na przedstawienie, które miało odbyć się na podwórku u Gajowniczków. Przed naszym sadem niedźwiedź uniósł w górę nos, wydał głośny pomruk, wyrwał się opiekunowi i z całą siłą rzucił się na płot. Nim treser ponownie złapał za łańcuch i wydał polecenie kawał płotu był powalony. Szczęśliwie udało się treserowi zapanować nad bestią. W przeciwnym wypadku najbliższe ule byłyby zdemolowane. Treser zapewnił, że naprawi płot, ale Ojciec mu to darował i sam naprawił. Przedstawienie się odbyło. Miś potańczył i wypił mleko z butelki przez smoczek. Treser zaprosił kogoś z widzów, aby zmierzył się z niedźwiedziem w zapasach.

Zgłosił się Czesiek Domański uchodzący za siłacza. Niedźwiedź tylko na to czekał. Mruknął groźnie, chwycił przeciwnika i "majtnął" nim kilkakrotnie. Cześkowi udało się wyrwać z objęć rozszoszczonego zwierza. Skoczył na stos gałęzi i następnie na dach stodoły. Niedźwiedź zaczął go gonić ale wkroczył treser. Zabawa skończyła się tylko na strachu i niegroźnym podrapaniu Cześka.

Pszczoły pracowały na nas wytrwale. Pomogły nam dorastać i przetrwać wojnę. Wczesną zimą 1944 roku Ojca nie było w domu.. Edmund uczęszczał do Handlówki i mieszkał w Siedlcach. W pobliskich lasach stali Rosjanie . Mieszkali w ziemiankach i czekali na ofensywę, która rozpoczęła się dopiero w styczniu 1945 roku uderzeniem na Warszawę.

Jacyś żołnierze wypatrzyli w sadzie ule i zapragnęli posmakować miodu. W nocy wynieśli ul w pole, wysypali pszczoły na śnieg i wybrali miodowe plastry . W koło przewróconego ula leżały pszczele trupy. Ślady prowadziły do lasu. Po kilku dniach rabusie ponowili wypad i wykradli następny ul. Pewnie wynieśliby całą pasiekę, gdyby nie zaradność Mamy. Stojący w lasach Rosjanie szukali kwater dla swoich oficerów. Mama zgodziła się przyjąć rosyjskiego oficera do domu. Zamieszkał w dużym pokoju wraz ze swoim adiutantem Andrejem. Decyzja była strzałem w dziesiątkę. Po kilku dniach późnym wieczorem Mama dojrzała dwóch skradających się do sadu amatorów miodu. Powiadomiła oficera. Andrej wyszedł i pociągnął dwie serie z pepeszy w powietrze. Rabusie uciekli i kradzieże skończyły się.

Z lokatorami stosunki utrzymywaliśmy prawie przyjacielskie. Jadali ciągle "kartoszki z sałom" Mama częstowała ich mlekiem, za co byli bardzo wdzięczni. Później okazało się, iż oficerem tym był podpułkownik NKWD. Pożytek był podwójny. Oprócz uratowanych pszczół skończyły się wizyty i rewizje domu i zabudowań przez NKWD. Szukali Ojca, który trafił na ich listę "wrogów ludu i terrorystów z AK". Oficer okazał się na tyle przyzwoity, że nigdy nie zapytał ani Mamy, ani nas, gdzie jest gospodarz.

W następnych latach pasieka się nieco zmniejszyła ale istniała i dawała dochody tak potrzebne przy dużej rodzinie i niezbyt rentownym rolnictwie. Interes się skończył w latach sześćdziesiątych, gdy na polach pojawiła się stonka a z nią klęska dla pszczelarzy. Ludzie sypali na kartofle różne środki owadobójcze. W kartoflach rosła ognicha. Kwiat tego zielska był bardzo lubiany i uczęszczany przez pszczoły. Wraz z nektarem pobierały truciznę i to im przyniosło zagładę. Pszczoły wyginęły. Skończyły się "miodowe lata" na Podlasiu, gdzie sadzono dużo kartofli.

Wróćmy do naszego codziennego życia w okresie międzywojennym. Było ono monotonne. Niekończąca się praca – krowy na pastwisko, pielienie, gracowanie, oranie, bronowanie, zbiory w czasie żniw i wykopków, roboty przy inwentarzu i tak w koło. Siedmiolatki i starsze chodziły do podstawówki początkowo do Kisielska a następnie do klasy szóstej i siódmej do Stoczka. Wszyscy czekali na niedzielę a szczególnie na odpust. Chętnie chodziliśmy do kościoła widząc w tym rozrywkę.

Ktoś musiał zostawać “do krów” i pilnowania sadu i pszczół. Przeważnie szliśmy pieszo. Na szosie do Stoczka widoczny był podział na zamożniejszych i biedniejszych. Biedniejsi szli w samodziiałowych ubraniach z butami zawieszonymi na ramieniu. Szli boso rowami. Buty były niewygodne, bo były pożyczone i nie zawsze pasowały do nogi. Jeśli mieli własne, to je oszczędzali i zakładali dopiero pod miastem.

Zamożniejsi szli dumnie w butach środkiem szosy. Ojciec dawał nam na niedzielę po 10 groszy. Kupowaliśmy bułkę, napój a czasami starczało na karuzelę, cukierki i na loda. Najchętniej piliśmy kwas. Był to rodzaj gazowanej oranżady sprzedawanej z dużych butelek na szklanki. Niektóre dzieci miały zaskórniaki. Źródła zdobywania grosików były różne. Czasami były to dary od jakiegoś wujka lub cioci. Zbieraliśmy na rżyskach żyta, pszenicy i jęczmienia kłosa, które sprzedawaliśmy Ojcu. Mundeck i Janusz zbierali na polach krzemienie. Zanieśli je do młynarza – właściciela wiatraka w Kamionce i sprzedali za 20 groszy. Krzemienie potrzebował do renowacji kamieni młyńskich.

Najpewniejsze źródło zarobku pojawiała się przy sprzedaży inwentarza żywego. Ojciec sprzedawał od czasu do czasu krowę, cielaka lub owcę. Kupiec, najczęściej Żyd, przychodził na miejsce. Targował się do upadłego. Po kilka razy odchodził, niby rezygnował z kupna ale po chwili wracał. Drżeliśmy czasami, że nie wróci. Ojciec mawiał: nie martwcie się zaraz będzie z powrotem: I tak się działo. Czekaliśmy cichutko, aż doszło do transakcji i zapłaty. Utał się zwyczaj, iż dzieciak, który najwięcej przyczynił się do wyhodowania zwierzaka otrzymywał “kopytkowe”, przeważnie 50 gr, czasami więcej. Zwyczaj ten przetrwał u niektórych z rodziny do dziś.

Wnuczek Edmunda – Michałek dowiedział się od kogoś w rodzinie, jak jego dziadek zdobywał w dzieciństwie fundusze. Gdy dziadek sprzedał samochód przyszedł Michał i zawołał: dziadek, ja ten samochód raz myłem – daj “kopytkowe”. Nieważne, że samochód nie ma kopytek. Tradycja to tradycja i Michałek zarobił sumę do skarbonki.

Rodzice wychowywali nas łagodnie. Byli bardzo tolerancyjni. Mama czasami dała klapsa za przewinienie, natomiast Ojciec nigdy dzieci nie uderzył. Stosował natomiast nagrody. Nagradzał nas za pracę i naukę. Często wyjeżdżał do pszczół do Ciechomina i czasami do Żelechowa.

Każde z nas chciało z nim jechać. Babcia i wujkowie Poszwińscy jeździli regularnie do Warszawy, skąd przywozili nam dużo słodyczy. Jeżeli trafił się wyjazd do Żelechowa, to obowiązkowo były lody.

W 1934 r. świat otworzył się dla naszego domu. Ojciec kupił radio słuchawkowe na kryształek. Wszyscy chcieli słuchać, co dzieje się w Warszawie, w Polsce i na świecie. Dobrze, że słuchawki można było rozdzielać i jednocześnie mogły słuchać dwie osoby, choć trochę słabiej, bo na jedno ucho.

Największą radość sprawiały święta Bożego Narodzenia. W każdym roku przed świętami otrzymywaliśmy wielką paczkę od cioci Wandy, siostry Mamy z Warszawy. W paczce znajdowały się same bogactwa. Najładniejsze ozdoby choinkowe, pomarańcze, mandarynki, figi i słodycze. Świecidelka i łańcuchy z paczki zawieszaliśmy na widocznej części choinki, tak abyśmy mogli pochwalić się odwiedzającym nas sąsiadom – to od cioci z Warszawy! Wszyscy braliśmy udział w strojeniu pięknej choinki. Obok stroików, bombek, łańcuchów i świeczek wisało dużo cukierków, ciastek, jabłek i laskowych orzechów w papierowych koszykach. Smakołyki te starczały nam aż do 10 stycznia, kiedy kończyły się choinkowe święta.

Wróćmy do opowiadań Ojca. W 1930 roku przeszedłem ćwiczenia wojskowe (manewry) w Leśnej. Trzykrotnie też przebywałem na manewrach w Brześciu. W marcu 1939 roku znalazłem się wśród powołanych do wojska 400-tysięcy rezerwistów - Dowództwo okręgu IX Korpusu Brześć. Miało to związek z zagrożeniem zajęcia przez Niemców "korytarza" (Pomorza z Gdańskiem). Służyłem przy sztabie dywizji w Siedlcach. Gospodarczo nasza jednostka należała do 22 Pułku Piechoty. Po kilku tygodniach zwolniono mnie i wróciłem do domu. Powiedziano nam, że w razie potrzeby wezwą nas do wojska ponownie. W sierpniu 1939 roku już nie byłem powołany.

VII II WOJNA ŚWIATOWA I OKUPACJA

W jednym z ostatnich dni sierpnia 1939 roku ojciec pojechał rowerem do Siedlec. Kupił tam wagę angielską, którą przywiózł mu na furmance Mateusz – parobek 2-giej żony dziadka Kacpra. Gdy wracał Ojciec przez Skórzec spotkał gońca, który rozwoził karty powołania do wojska. Mobilizacja! Jechał następnie przez Rudę do Soćk i Toczysk. Tu już wiedzieli... karty powołania do wojska czekały na posterunku policji w Stoczku.

1-szego września 1939 roku Niemcy napadają na Polskę.

Ludzie obawiali się, że niemieckie samoloty będą zrzucały gazy trujące. Dla ochrony przygotowywali wilgotne ręczniki. Akurat był czas kopania kartofli na polach, dokąd ludzi zabierali te mokre ręczniki. Do naszego domu przyjechała najpierw grupa uciekinierów z Warszawy. Przez parę dni mieszkał u nas chłopiec spod Warszawy. U Józefata i Bronka Kajków przebywał przez kilka dni grawer i projektant znaczków pocztowych nazwiskiem Polack.

Pewnego dnia nad Stoczkiem pojawiła się luna ognia. Wieś i olszyny zaroily się od ludzi. Zaszedł do nas samotny żołnierz z bronią i granatami. Mama zaproponowała mu, żeby schował broń.

-Broni nie rzucę - powiedział -i nie poddam się! Ostatni granat zostawię dla siebie...

Przez Kapice przechodziło Wojsko Polskie. Zostawili w olszynach dwie armaty. Przed wejściem Niemców rodzice zdążyli zakonserwować w beczce mięso z ubitej świni i zakopać je pod szopą.

Z kolei opowiadanie mojego Ojca koncentruje się na okresie niemieckiej okupacji podczas II wojny światowej.

Podobnie jak w całym kraju na Podlasiu, w tym i w Stoczku Łukowskim, rodził się ruch oporu. Już w listopadzie 1939 roku powstała w Stoczku Służba Zwycięstwu Polski. Organizował ją podporucznik Wiktor Kaczor ze Zgórznicy. Pierwsi konspiratorzy to: St. Budzyński, Fr. Czech, W. Drabiński, Z. Pioruński, W. Celej, H. Nowosielski i inni.

Z początkiem 1940 roku powstał Związek Walki Zbrojnej. SZP weszła w skład ZWZ. Komendantem IV-go rejonu Stoczek był Wiktor Kaczor. W 1941 roku wyjechał on na tereny wschodniej Polski a jego miejsce zajął sierżant Wojciech Barej. W tym czasie zaprzysiężonych już było 300 żołnierzy. Zajmowano się głównie organizacją, zbieraniem i konserwowaniem broni i amunicji, szkoleniem bojowym i tzw. małym sabotażem. Zorganizowano szkołę podoficerską, której wykładowcami byli miejscowi oficerowie i podoficerowie.

Z początkiem 1942 roku ZWZ przekształcono w Armię Krajową. Utworzono dwa "rzuty" : pierwszy bojowy i drugi rezerwa skupiająca żołnierzy w wieku ponad 40 lat. Do tego drugiego rzutu AK przystąpił nasz ojciec mając 44 lata. Komendantem 2-iego rzutu został Franciszek Czech ze Stoczka. W tym czasie stan liczebny obwodu Łuków wynosił około 500 żołnierzy podzielonych na 12 plutonów.

Dowódcą jednego z oddziałów w tym rejonie został kapitan Marek (pseudonim). Parokrotnie nocował a bywało, że spędzał on kilka dni w naszym rodzinnym domu w Kapicach. U nas także odbywały się nocami zebrania i narady sztabowe. Ćwiczenia Akowców organizowane bywały nocami w lasach koło Dębka niedaleko Stoczka.

W początkach 1943 roku w lasach zwanych Jatą pod Łukowem powstał oddział ds. specjalnych KEDYW – Kierownictwo Dywersji.

W środku lasu w otoczeniu mokradeł wybudowano baraki mieszkalne, kuchnię, magazyny, stajnie, studnię i ołtarz polowy. Dobrze wyszkolone oddziały z Jaty rozbiły niemieckie magazyny w opanowanych przez Niemców okolicznych dworach i miasteczkach, wykonywano wyroki na zdrajcach i kolaborantach, wykolejano niemieckie pociągi.

W maju 1944 roku dokonano zamachu na szefa żandarmerii żelechowskiej - Gintowa. Był on wyjątkową kanalią. Słynął z sadystycznych przyjemności w zabijaniu Polaków. Zorganizowano zasadzkę w parku pod Stoczkiem. Zabito jednego żandarma. Gintow został ciężko ranny i zmarł w niedługim czasie.

Zdarzały się wśród partyzantów również działania nieprzemyślane i lekkomyślne.

W 1944 roku jechali do Stoczka żandarmi z Miastkowa. Pod Stoczkiem usłyszeli strzały z broni maszynowej. To grupa partyzantów przybyła na ślub kolegi . Partyzanci postanowili pod pomnikiem Dwernickiego przestrzelać broń. Po strzelaniu kilku z nich pojechało na kwaterę do Śnieżków w Kobiątkach Starych. Niemcy usłyszeli serię z broni maszynowej, poszli po śladach i otoczyli dom i stodołę.. Dokonano aresztowań.

Zabili gospodynię – Franciszkę Śnieżek i dwóch partyzantów: T. Płudowskiego i Z. Świątka. Mariana Śnieżka pobitego zawieźli do więzienia w Garwolinie.

W zorganizowanej akcji partyzanckiej odbito wielu więźniów a wśród nich Mariana Śnieżka. Przeżył on wojnę i żyje do dziś.

Oddział "Ostoi" walczył do końca wojny. Z początkiem lipca 1944 roku zaatakował posterunek żandarmerii w Kujawach. Zginął jeden Niemiec a dziewięciu poddało się. Zdobyto broń i amunicję. Nad lasami Jaty ostrzelano niemiecki samolot transportowy, który rozbił się koło Stoczka. Kapitan Ostoja oraz jego oddział stoczyli jeszcze szereg bitew i potyczek.

W drugiej połowie 1945 roku ujawnił się a 28 października tego roku został zamordowany pod Grabowem koło Lublina.

Cofnijmy się jeszcze do września 1944 roku. Pewnej nocy przyjechało do nas trzech członków sztabu z dowództwa rejonu – opowiada Ojciec.

Przywieźli skrzynię z kancelarią, aparat radiowy oraz broń. Przebywały w naszym domu 3 doby. Przyjechał również dowódca okręgu słynny kapitan "Ostoja" (Wacław Rejmak), o którym śpiewano piosenki. Przybył bryczką wraz z łączniczką – panną Łączyńską. Zapytał o swoich ludzi i prosił aby zawołać jednego z nich. Rozmawiali około godziny, dziewczyna zawróciła konie i odjechali. W nocy znów przyjechali partyzanci furmanką i zabrali skrzynię z dokumentami i radioodbiornik. Broń maszynową zostawili.

W pobliskich lasach stali już Rosjanie... Broń ukryliśmy w stodole. Nic o niej nie mówiłem rodzinie, bo nie chciałem straszyć. Po pewnym czasie Mama z Basią znalazły ją przypadkiem, gdy brały kończynę. Jeden RKM zakopały nocą w kopcu z ziemniakami a drugi w szopie. Leżały tam do wiosny 1945 roku. Po dłuższej nieobecności wróciłem do domu. Przyszło do nas 3 partyzantów z kartką podpisaną przez Ostoję: proszę wydać "zamelinowaną" broń. Tę kartkę schowałem w sieni pod blachą dachu. Wzięli furmankę z koniem od Bronka Kajki. Cekał on w opłotkach i domyślał się skąd tę broń przynieśli.

Jak wspominałam część jesieni i zimą 1944/45 r. Ojciec nie mieszkał w domu. U Kajki na końcu wsi przebywał na kwaterze Rosjanin krawiec, który był agentem NKWD. Pewnego dnia pojawił się u nas i pytał o Ojca. NKWD aresztowało przyrodniego brata Ojca – Henryka oraz syna sąsiadów – Tadeusza Kajkę, którzy należeli do AK. Wywieźli ich w głąb Związku Radzieckiego.

Ojciec nasz przebywał początkowo u Lutego mającego zabudowania w olszynach. Gdy pewnego wieczora szedł do domu Janusz (brat) czekał na niego na drodze. Wysłała go tam cichaczem Mama z wiadomością, że w domu oczekuje na niego grupa NKWD... Przyjeżdżali oni do naszego domu kilkakrotnie o różnych porach dnia i nocy. Ojciec w tym czasie przedostał się do oddalonych o ponad 40 km Siedlec, gdzie mieszkał na stacji Mundek. Po tygodniowym pobycie w Siedlcach Ojciec pojechał (nota bene samochodem rosyjskim), do swojej siostry a naszej cioci Łodzi mieszkającej w Tokach za Wodyniami. Przebywał tam kilka miesięcy.

Warto jeszcze wspomnieć, że gdy pewnego dnia NKWD-iści przyjechali do nas w poszukiwaniu Ojca, zaczęli go szukać m.in. w owej koniczynie w stodole, gdzie leżały karabiny maszynowe... Mama struchlała. Na szczęście broni nie znaleźli.

Rewizje, jak wspominałam, skończyły się po zamieszkaniu w naszym domu rosyjskiego oficera. Do domu wrócił Ojciec wiosną 1945 roku. W ten sposób uniknął zsyłki do Rosji i być może śmierci w "łagrach" radzieckich.

VIII TRADYCJE LUDOWE

W czasie okupacji Kapice były bardziej zaludnione niż przed wojną. Mieszkało tu kilka osób ze Stoczka i zachodniej Polski ukrywających się przed Niemcami. Było sporo młodzieży, która różnymi sposobami uprzyjemniała sobie monotonne życie wiejskie. Pomagały w tym dawne obyczaje i tradycje.

Zimowe wieczory urozmaicały różne spotkania dziewcząt i kobiet. Spotykały się kolejno w poszczególnych domach: praśniczki z kądziałami, pierzaczki z pierzem, hafciarki z ręcznymi robótkami.

Zaczynało się od rozmów i plotek, potem następowały śpiewy. Kierowane do zgromadzonych chłopców przyśpiewki były zabawne i zaczepne np.:

-Mówiłeś chłopaku, że ty umiesz młócić a ty nie potrafisz cepami obrócić
Chłopcy na to:

-Mówiłaś dziewczyno, że umiesz haftować a ty nie potrafisz płachty
zacerować.

Śpiewy rozbrzmiewały do późnej nocy. Niektóre dziewczęta przynosiły śpiewniczki zawierające różne przyśpiewki weselne aż po pieśni patriotyczne. Czasami chłopcy stroili tzw. "bociana". Jeden z nich przebierał się w kozuch odwrócony włosem na wierzch, zabierał praśniczce tzw. "krażownik" od kołowrotka, wciągał go w rękaw tworząc w ten sposób głowę i dziób bociana. Straszyl w ten sposób dziewczęta i dzieci, które z piskiem uciekały kryjąc się po kątach i wskakując na ławy. Niekiedy takie spotkania kończyły się zabawą i tańcami.

Na wsiach zamieszkiwali ludowi muzykanci. Niedaleko Kapic w Januszówce mieszkał harmonista Ziejewski. Jego najczęściej przywozili chłopcy na owe "kądziele". Bawiono się wesoło: walce, polki i oberki z przytupami. Ziejewski grał skocznie i głośno, choć trochę fałszował. Był on prawdziwym ludowym muzykantem i znał dużo starych melodii, które były przekazywane z pokolenia na pokolenie. Grał ze słuchu, nut nie znał, bo nie mógł ich znać, ponieważ był niewidomy.

Na zakończenie karnawału urządzaliśmy ostatki. Zwykle dzieci przebierały się w różne łachy przepasane słomą a głowy przybierały grochowinami. Tacy przebierańcy chodzili do domów i zbierali smakołyki, racuchy i czasami pieniądze. Zorganizowaliśmy też przedstawienie. Starsze dzieci śpiewały:

Umarł Maciek umarł, już leży na desce...

Maciek czekał, aż zaśpiewali - już leży na desce - wtedy upadł na podłogę a potem zgodnie z treścią piosenki poderwał się i podskakiwał.

Po ostatekach nadchodził post a w jego połowie "wybijano" tzw. "półpoście". Polegało ono na tym, że chłopcy rozbijali gliniane garnki wypełnione wapnem o drzwi, w których mieszkały panny na wydaniu .

Wapno z drzwi łatwo się zmywało. Na tą czynność czekali kawalerowie ukrywając się za płotami. Wtedy zaczynały się śmiechy i przyśpiewki na temat staropanieństwa.

W lecie były inne okazje do rozrywek. Chłopcy kopali piłkę – szmaciankę, lub zrobioną z sierści zwierząt. Grali również w palanta, tego samego, którego polscy emigranci zawieźli do USA. Tam go przerobili na baseball-a, który obecnie jest najpopularniejszym sportem w Ameryce.

W czasie żniw organizowano tzw. okrężne. Nie było maszyn żniwnych. Zapraszano więc ze wsi kosiarzy i kosiarki do zbierania zbóż. Pod wieczór ustawiano snopy w mendle. Był zwyczaj, że na zakończenie chłopcy chwyтали dziewczyny i przeciągali je za ręce wokół mendli. Następnie próbowali to samo robić za nogi. Dziewczyny uciekały z piskiem. Zawsze udawało im się uciec i uniknąć "tortur". Wieczorem gospodyni przygotowywała dla wszystkich przyjęcie zakrapiane alkoholem. Po kolacji zaczynała się zabawa i tańce do rana.

IX PO II WOJNIE ŚWIATOWEJ

W czasie okupacji i w pierwszych latach po wojnie rodzina nasza żyła w komplecie. Tylko Edmund mieszkał w Siedlcach a następnie w Warszawie ale w czasie wakacji i w ferie był z nami.

Dzieci rosły a w raz z ich dorastaniem rosły wydatki. Niestety pasieka się zmniejszyła i małały dochody. Trzeba było myśleć jak dorobić trochę pieniędzy do skromnych dochodów z rolnictwa. Rodzice wymyślili hodowlę kur. Ojciec wybudował nowoczesny kurnik ale tylko na 120 kur. Dochody ze sprzedaży jaj były znaczące ale nie wystarczały na utrzymanie.

Myśleliśmy jak tu zarobić na uprawie ziemi. Mundek podsunął pomysł porzeczek. Zasadziliśmy 3500 szt. krzewów porzeczki czarnej i czerwonej. Liczyliśmy nie tylko na korzyści finansowe ale również na wspólne rodzinne urlopy przy niezbyt ciężkiej pracy. Tak się stało. Rodzina w latach siedemdziesiątych i następnych mieszkała w różnych częściach kraju. Basia, Halinka, Teresa i Wanda mieszkały na Wybrzeżu, Edmund w Warszawie a Janusz na Śląsku. W lipcu zjeżdżali się wraz z rodzinami do Kopic.

Dzieci miały dużą frajdę siedząc na stołeczkach pod krzakami lub goniąc się i chowając między rzędami. Pod wieczór przyjeżdżały samochody i odbierały dzienne zbiory dla Hortex-u w Górze Kalwarii. Tam przetwarzano porzeczeki na soki, mrożonki i dżemy. Potem funkcje te przejęły nowo wybudowane zakłady w Stoczku Łukowskim. Plantację prowadziliśmy około 15 lat.

Następnie krzewy zestarzały się i nadeszła susza. Porzeczeki przestały przynosić dochody.

Wszystkie te nasze wspólne zabiegi nie dały "wielkich bogactw" ale trochę poprawiły materialną sytuację rodziców a pośrednio i dzieci. Ojciec z uwagi na chore stawy miał trudności z chodzeniem i jazdą na rowerze. Kupił więc sobie motorower Komar. Potem rodzice stali się właścicielami "Malucha".

Kierowcami byli: Tereska, Janusz i Edmund a na stałe Heniek – przyrodni brat Ojca.

W 1974 roku Rodzice obchodzili uroczyste złote gody. Zaśpiewaliśmy "sto lat" i "gorzka wódka". Zjechała się rodzina nasza, Mamy i Ojca, przyszli sąsiedzi.

W 1978 roku przekazano gospodarstwo Heńkowi. W 1987 roku, po śmierci Ojca, Mama została w domu sama. Nasze próby, aby urządzić jej mieszkanie przy którymś z nas nie udały się. Nie chciała słyszeć o zmianie swojego środowiska.

Od początku lat 70-tych wszyscy odwiedzaliśmy Rodziców często i regularnie. Najczęściej i najdłużej przebywałam ja. W opiece nad Mamą bardzo pomogła nam Teresa Kajkowa – sąsiadka. Odwiedzała ona Mamę codziennie. Ma telefon, więc kontakt był ułatwiony. Pomocy Mamie udzielała cała rodzina Kajków, szczególnie przy robieniu zakupów, które ze względu na odległość Kopic od Stoczka nie były łatwe. Zaopatrzenie w chleb, mleko i inne produkty czynili wszyscy – Tadeusz, Marek, Bożenka, Monika i Kamil. Dzięki tej trosce i pomocy byliśmy o Mamę spokojni. Życzliwość tę i pomoc bardzo sobie Mama ceniła. Jesteśmy im za to wdzięczni.

Rodzice, zgodnie z przyrzeczeniem, nie utrudniali nam wyboru własnego sposobu na życie a nawet pomogli w zdobyciu wykształcenia. Oczywiście liczyli, że jedno z nas zdecyduje się na pozostanie w domu i przejęcie gospodarstwa rolnego. Według ich oceny najbardziej odpowiedni do tego był Janusz.

Najstarsza z nas Barbara po ukończeniu podstawówki w 1940 roku uczęszczała na "komplety" prowadzone przez prof. Tynelskiego w Stoczku.

Po wojnie założyła rodzinę, przeprowadziła się do Gdańska, gdzie kontynuowała naukę zaocznie. Zaliczono jej dwie klasy z kompletów. Ukończyła szkołę średnią.

Pracowała w bibliotece a następnie w księgarni. Mąż jej Heniek żyje do dziś i mieszka w Gdańsku. Córka Wanda zrobiła maturę, założyła rodzinę i z mężem Andrzejem i synem Arturem mieszka w Szczecinie. Artur skończył historię na Uniwersytecie w Szczecinie. Janusz z żoną Olą i dwoma synami mieszka w Gdańsku. Jest inżynierem budowlanym. Jego syn Tomek studiuje na Politechnice Gdańskiej, Piotrek kończy szkołę średnią. Basia zmarła w 1994 roku.

Edmund od 1942 roku uczęszczał do Szkoły Handlowej w Siedlcach.

Handlówki zaliczane były do szkół zawodowych uznanych przez okupanta za legalne. Chętnych do tych szkół było dużo - po kilku kandydatów na jedno miejsce. Udało mi się przejść szczęśliwie przez egzaminy wstępne. Mieszkał na tzw. stacji. Właściciele ustalili płatność w prowiantach: w maśle, mące, mięsie, w kartoflach, itp. Ojciec na zmianę z Kaczorem ze Zgórznicy dowozili żywność co dwa tygodnie. W czasie okupacji powszechnie brak było żywności, dlatego stawała się ona środkiem płatniczym. Stacja mieściła się w domku z ogródkiem przy ulicy Szkolnej w tychże Siedlcach. Ogród przylegał do kirkuta ogrodzonego drutem kolczastym. Z tego powodu Mundek został mimo woli świadkiem mordu Żydów. Oddajmy mu głos:

- Pewnego wiosennego ranka 1943 roku o 5 rano usłyszałem serię z broni maszynowej w pobliżu domu. Wyszedłem w piżamie do ogrodu, położyłem się na kupce żwiru i wychyliłem głowę. W odległości około 200 metrów na terenie kirkuta wykopany był długi dół. Pod bramę cementarza podjeżdżały ciężarowe "budy", z których Niemcy wyładowywali po kilkadziesiąt osób, pędzili do dołu i rozstrzeliwali. Rozpaczliwy krzyk był nie do opisania. Potem nastawała cisza a za około 20 minut podjeżdżał następny samochód i scena powtarzała się na nowo. Zwożono Żydów z okolicznych miast. Akcja trwała około 2 tygodni. Któregoś dnia, gdy tak leżałem na żwirze, musiał zobaczyć to jeden z oprawców, bo strzelił w moim kierunku a kula świsnęła mi nad głową. Uciekłem szybko do domu. Tylko raz widziałem jak młody Żyd uciekał zygżakiem przez teren kirkuta, ale i jego dosięgła kula. Po skończonej masowej akcji gestapowcy doprowadzali pojedynczych Żydów schwytanych w Siedlcach i okolicy i również ich rozstrzeliwali. Były wśród nich również i dzieci. Widziałem jak obok mojego domu gestapowiec prowadził w kierunku kirkuta dwoje Żydowskich dzieci w wieku 4 - 6 lat. Uwiązał je na rzemyku za szyję. Po chwili, gdy je doprowadził na miejsce rozległy się dwa strzały.

Edmund przebywał w Siedlcach do 1947 roku. Po zdaniu matury studiował w Warszawie na wydz. Dyplomatyczno - Konsularnym Szkoły Głównej Służby Zagranicznej. Ukończył ją w 1951 roku. Wykłady odbywały się wieczorami, więc w ciągu dnia mógł pracować. W czasie studiów i po studiach pracował w CHZ: Metalexport, Cekop, Polimex-Cekop i Mostostal Export. Wybór studiów i pracy był trafny, bo pozwolił mu zwiedzić świat i zabezpieczyć się materialnie. W czasie służbowych delegacji "zaliczył" ponad 50 krajów. Siedem lat przebywał z rodziną na placówkach w Iraku i potem w Ghanie. W Warszawie mieszka do dziś wraz z żoną Alicją, dwoma córkami Joanną i Moniką oraz dołączoną do jego rodziny Agnieszką. Wszystkie one mają już mężów (Wojtek, Jacek i Piotrek). Wszystkie znają dobrze język angielski, który poznały w Ghana International School w Akrze.

Po powrocie do kraju wszystkie pokończyły Liceum im. Kopernika w Warszawie, gdzie częściowo wykładano w jęz. angielskim. Joasia po maturze ukończyła Studium Języków Obcych w Warszawie i pracuje w międzynarodowej firmie transportowej Schenker jako handlowiec. Mąż Wojtek- mgr ekonomista po SGPiS prowadzi własną firmę –usługi haftu komputerowego oraz import art.tekstylnych. Monika została magistrem inżynierem architektury, pracuje w firmie zagranicznej oraz pomaga mężowi Jackowi, który jest również mgr inż. architektem, projektuje i buduje domy. Agnieszka z mężem Piotrkim ukończyli Filologię Angielską na UW i prowadzą swoją firmę importową. Wnukowie Michał (syn Joasi) i Kuba (cioteczny wnuczek –syn Agnieszki) chodzą do szkoły, pływają, jeżdżą na nartach i kopią piłkę. Dziesięcioletni Michał w szkole (4 klasa) na lekcjach informatyki uczy się obsługiwać komputer. Pisał część tych wspomnień pod dyktando dziadka.

Halinka również rozpoczęła edukację w zakresie szkoły średniej w czasie okupacji na tajnych kompletach organizowanych w Stoczku Łukowskim. Tam ukończyła 2 klasy gimnazjum a po wyzwoleniu zrobiła maturę i podjęła pracę jako nauczycielka w Kobiałkach Nowych. Następnie przeniosła się do Ostaszewa w woj. Gdańskim gdzie kontynuowała naukę. W Gdańsku Oliwie ukończyła 2-letnie liceum pedagogiczne. Wyszła za mąż za Henryka, który był zawodowym oficerem i służył w wojsku. Razem dostali służbowe przeniesienie do Włocławka. Halinka zaliczyła tam Studium Nauczycielskie - kier. Matematyczno-fizyczny w Toruniu. Ponownie przeniesiono Heńka służbowo do Elbląga. Kontynuowała studia zaoczne w Wyższej Szkole Nauczycielskiej w Gdańsku, którą ukończyła i otrzymała dyplom. W Elblągu mieszka do dziś. Pracowała jako z-ca dyr. szkoły podstawowej. Syn Mariusz jest inżynierem budowlanym. Pracował w Libii a obecnie buduje autostradę A-2 w Polsce. Wraz z żoną Małgorzatą mają córkę Karolinę, która studiuje obecnie psychologię w Warszawie i mieszka u Moniki i Jacka.

Janusz po wojnie ukończył Szkołę Mechaniczną w Stoczku Łukowskim. Po odbyciu 2-letniej służby wojskowej przeniósł się do Gliwic, gdzie osiedlił się i założył rodzinę. Syn Piotrek wraz z żoną Elżbietą i 3-ką dziećmi mieszka na stałe w Australii, jest inżynierem sanitarnym. Drugi syn Paweł zrobił maturę, założył rodzinę i prowadzi interes komputerowy. Wnuczka Ania kończy studia w Katowicach a druga Magdalena zamierza studiować germanistykę. Janusz ukończył zaocznie Wyższą Szkołę Pedagogiczną. Kierował warsztatem szkolnym w technikum a na emeryturze został ogrodnikiem i wraz z żoną Marysią prowadzą nowoczesną plantację truskawek i malin. Dla przyjemności hoduje perliczki, indyki, kaczki, kury i psy. Widać, że uprawy w ogrodzie i tę drobną hodowlę prowadzi z zamiłowaniem i dużą fachowością, którą wyniósł z domu rodzinnego.

Teraz kolej na mnie. Mam na imię Teresa. Byłam najmłodsza do 1940 r., kiedy to urodziła się Wanda i skończyły się moje przywileje malucha w naszej rodzinnej gromadzie. Często kazano mi paść krowy, bo to niby najłżejsza praca. Faktycznie nie była ciężka, ale za to beznadziejnie nudna. Urozmaicałam sobie wlokący się czas czytaniem książek. Szkołę podstawową skończyłam w ciągu pięciu lat, szkołę średnią w Stoczku Łukowskim również w ciągu pięciu lat. Marzyłam zostać dziennikarką. Po egzaminie wstępnym zostałam przyjęta na Wydz. Filozoficzno-Społeczny - Sekcję Dziennikarską Uniwersytetu Warszawskiego.

Sekcję tę przekształcono w Wydział Dziennikarski U.W., który ukończyłam w 1955 r. Dostałam przydział pracy do Dziennika Bałtyckiego w Gdańsku. Pracowałam tam 37 lat pełniąc funkcję kolejno: reportażysty, kierownika działu i sekretarza redakcji. Jak wspominałam na wstępie mieszkając w Gdańsku dużo czasu spędzałam na Kapicach.

Wanda była najmłodsza. Ukończyła szkołę średnią w Stoczku Łuk. a następnie Studium Nauczycielskie w Lublinie. Wyszła za mąż i wraz z mężem Adamem zamieszkała w Stoczku, potem w Łukowie. Urodziła się córka Agnieszka. Wanda tak jak wcześniej Barbara i Tereska również postanowiła mieszkać na Wybrzeżu. Osiedliła się w Łęgowie pod Gdańskiem. Uczyła w miejscowej szkole podstawowej a mąż pracował w DOKP w Gdańsku. W 1976 r. Powstała okazja zatrudnienia Adama w Ghanie, w zakładzie drzewnym w Bibiani. Prowadził montaż a następnie utrzymanie w ruchu maszyn i urządzeń dostarczanych z Polski. Edmund z rodziną i ich córką Agnieszką mieszkał w Akrze.

Adam i Wanda zamieszkali w domku przy fabryce w Bibiani, miasteczku oddalonym o 80 km od Kumasi i 400 km od Akry.

W lipcu 1978 r. Edmund z Alą, Joasią i Moniką mieszkali już na stałe w Polsce. Agnieszka przeniosła się na wakacje do rodziców w Bibiani.

27 lipca 1978 r. Adam, Wanda, Agnieszka i jej koleżanka Beata wracali z basenu z Kumasi. Słońce w strefie podzwrotnikowej zachodzi bardzo szybko i w ciągu pół godziny zapada noc. Wracali ok. godziny 19-tej. Było już ciemno. Na zakręcie szosy stał uszkodzony samochód tzw. "trotro". Jest to samochód ciężarowy przystosowany do wożenia ludzi. Zakręt i nieoświetlony pojazd były przyczyną ciężkiego wypadku drogowego. W wypadku tym ciężko ranne zostały 3 osoby: Adam, Wanda i koleżanka Beata. Zmarli w szpitalu w Kumasi. Agnieszka, śpiąca na siedzeniu za kierowcą, została lekko ranna.

Edmund i Ala z dziewczynami i ciocią Stasią Bafiową byli na wczasach w Borach Tucholskich. Po otrzymaniu wiadomości o tragedii w Ghanie natychmiast wrócili do Warszawy. Edmund załatwił paszport i bilet i poleciał do Akry. Tam załatwił formalności związane z wysyłaniem zmarłych do Polski i zaopiekował się Agnieszką, z którą razem wrócił do kraju. W tym czasie rodzina urządziła pogrzeby w Stoczku Łukowskim.

Agnieszka miała 13 lat. Po powrocie mieszkała w rodzinie Edmunda. Uczęszczała z dziewczynkami Joasią i Moniką do szkoły średniej, ukończyła studia na Filologii Angielskiej U.W.

Mama przed śmiercią w 1999 r. doczekała się 8 wnuków: Wanda, Janusz, Joasia, Monika, Agnieszka, Marek, Piotrek i Paweł oraz 11 - ścioro prawnuków: Artur, Tomek, Piotrek, Michał, Karolina, Ania, Madzia, Maciek, Marek, Georginia i Kubuś.

X MIJAJĄ LATA

Dzięki przechowanym zapiskom myślę, że uda się nam uchronić od zapomnienia pamięć o naszych rodzicach, o ich wspólnych przeżyciach i o patriotycznej działalności Ojca w czasie I i II wojny światowej.

W dniach od 9 do 14 grudnia 2002 r. przebywałam u Edmunda w Warszawie i razem czytaliśmy moje notatki ze wspomnieniami Ojca, robiliśmy poprawki, dopiski i uzupełnienia.

Opisy zdarzeń ujęte są tematycznie a nie chronologicznie, dlatego opowiadania często cofają się w czasie.

Mamy nadzieję, że opracowanie to przeczytają żyjące dzieci Stefanii i Władysława, wnukowie, prawnukowie i w przyszłości praprawnukowie. Dowiedzą się jak ciężkie życie wiedli dziadkowie i ile starań czynili dla lepszej przyszłości swoich dzieci.

Dziś mamy piątek 13 grudnia 2002 r. Od czasu do czasu zerkamy na telewizor. Być może dzień dzisiejszy stanie się dniem historycznym. W Kopenhadze wąż się losy Polski. Trwają ciężkie negocjacje o przystąpienie naszego kraju do Unii Europejskiej. Przebywa tam nasz Komitet Negocjacyjny i Prezydium Rządu Leszka Millera. Dobrze, że tak do ostatniej chwili twardo walczyliśmy o interesy narodowe. Zobaczymy co z tego wyniknie. Wszyscy wierzymy, że Unia przyniesie nam rozwój gospodarczy kraju i lepsze życie umęczonego rozbiorami i okupacją narodu. Przed chwilą o godz. 19-tej dowiedzieliśmy się, że osiągnięto porozumienie i, że od 01.05.2004 roku Polska ma szansę zostać członkiem Unii Europejskiej. Marzenie Polaków zostanie spełnione. Radości nie ma granic. Szkoda, że tego nie doczekali rodzice, najstarsza i najmłodsza siostra Basia i Wanda. Mama cieszyła się z przystąpienia Polski do NATO. Świadczy o tym Jej notatka z 12 marca 1999 roku.

Ojciec zmarł w 1987 r. w wieku 89 lat, Mama – w marcu 1999 r. Mając 94 lata, Wanda w 1978 r., Basia w 1994 r. Została nas czwórka emerytów. Zdrowie nieco podupadło. Najlepiej trzyma się Janusz, bo jest ciągle aktywny – uprawia 8 ha ogrodu.

Utrzymujemy ściśle kontakty.

Zbieramy się corocznie w Warszawie na święta zmarłych. Wspólnie wyjeżdżamy na groby do Stoczka. Stawiamy świece na grobie Rodziców, Wandy i Adama, dziadków i stryjków. Odwiedzamy też grób partyzantów: Śnieżkowej, Świątka i Płudowskiego. Zajeżdżamy również do krzyża POW pod Stoczkiem. Cztery brzozy wyrosły na olbrzymie drzewa. Na koniec jedziemy do Kapic na kawę do sąsiadów pp. Kajków. Gawędzimy, wspominamy i dowiadujemy się o ostatnich nowinkach ze wsi. W naszym rodzinnym domu mieszka samotnie Zbyszek, młodszy syn Heńka.

Nie ma już uli, sadu i stodoły. Pozostało niewiele drzew. Wszędzie pusto, głucho i smutno, nie ma już tego gwaru i śmiechu, gdy mieszkało tu 8 osób - rodziny Władysława i Stefanii Chudków.

Mijają lata, mijają piosenki...

K O N I E C

SPIS TREŚCI

I	Wstęp	2
II	Korzenie i dzieciństwo	4
III	I-sza Wojna Światowa i POW 8 →	
IV	Wyzwolenie 1918 r	10
V	Wojsko Polskie	12
VI	W wolnej Polsce	14
VII	II-ga Wojna Światowa i okupacja	20
VIII	Tradycje ludowe	23
IX	Po II-giej wojnie światowej	24
X	Mijają lata	30